



Mirosław Derecki

LUBELSKIE LATA EDWARDA STACHURY (3)

Był chyba koniec września 1959 r. Miałem kłopoty z mieszkaniem, bo studenckie domy przy ul. Langiewicza zamknięto na głucho przed rozpoczęciem nowego roku akademickiego: do rodzinnego miasta wyjeżdżać mi się z Lublina, gdzie już od półtora roku współpracowałem z „Kameną”, nie chciało. Jediną ostoją dla osób w podobnej, jak moja sytuacji był wtedy Dom Wycieczkowy PTTK, mieszczący się w zabytkowym pałacyku przy placu Litewskim, gdzie ma teraz swoją siedzibę Lubelskie Towarzystwo Naukowe. Można tam było się przespać za kilkanaście złotych na ogólnej sali, we względny spokój.

W „Peteteku” panowała swoista, rodzinna atmosfera. Mieszkała tam zawsze - poza masowymi, przelatującymi jak meteory szkolnymi lub chłopskimi wycieczkami - pewna grupa „rezydentów”, ludzi, którzy byli w Lublinie na dłuższych „delegacjach”, studentów przygotowujących się do wstępnych lub do poprawkowych egzaminów, gdy akademiki były w remoncie; takich - których żona lub mąż wyrzucili z domu, lub takich - którzy domu w ogóle nie mieli. Do tych ostatnich należał pewien starszy księgowy na emeryturze oraz potwornie gruba, stara kobieta, uciekinierka ze szpitala psychiatrycznego, gdzie - jak twierdziła - umieściła ją rodzina łasa na jej majątek. Utrzymywała się z wróżenia (z dłoni i z kart) uczestnikom zbiorowych wycieczek. Pamiętam też panią w średnim wieku z synkiem, wyglądającą na prowincjonalną nauczycielkę. Nie wiem, gdzie pracowała, ale „dorabiała” prostytutką na salach ogólnych, operując głównie wśród młodych przybyszów ze wsi. Taką miała przystępną, więc i popyt był duży.

Wieczorami, gdy uczestnicy wycieczek, zmęczeni bieganiną po zabytkach, ułożyli się do snu, „rezydenci” zbierali się w górnym hallu pałacyku (na pierwszym piętrze nad schodami) przy stolikach na towarzyską pogawędkę. Telewizja była dopiero w powijakach, nikt nie słyszał o odbiorniku telewizyjnym w hotelu, więc życie towarzyskie naprawdę kwitło.

W takim właśnie entourage’u pewnego późnego wrześniowego wieczoru natknąłem się na Stada. Akurat wrócił z jakiejś „rajzy” po Polsce; był w podobnej sytuacji, co ja, bo znaczy bez pieniędzy i mieszkania.

Gwarzyliśmy sobie przy stoliku o tym i owym, a najmniej o pisaniu, gdy przysiadł się do nas chłopak, który koniecznie chciał zagrać w karty. „Ja grywam tylko na pieniądze - powiedział rzeczowo Sted. - W pokera” - dodał, żeby już zupełnie nie było wątpliwości. To chłopaka wcale nie speszyło. Forsę miał, bo przyjechał do Lublina na kilka dni zdawać egzaminy poprawkowe, a w dodatku ojciec, niebiedny rolnik, dał mu jeszcze tysiąc trzysta złotych na kupno jesionki...

Nigdy nie miałem pojęcia o kartach, a zwłaszcza o grze w pokera, ale już w momencie, kiedy Stachura zaczął tasować i rozdawać, rozumiałem, że mam przed sobą nie byle kogo! Karty po prostu furczały mu w rękach.

W ciągu dosłownie kilku chwil Sted stał się zupełnie innym człowiekiem; gdzieś zniknęła jego miękkość, „zamyślenie”, jego „łagodność”. Patrzyłem ze zdumieniem, jak po paru rozdaniach, gdy już zostały podwyższone stawki i gdy jego partner wygrał parę złotych (może - nie był to przypadek, może – miał je wygrać na „zachętę”?) Stedowi z minuty na minutę, tężała twarz, a jego błękitne, marzycielskie oczy robiły się stalowoszare, zimne. „S-syp, s-syp forszę, na stół!” - powtarzał bezwzględny głosem, kiedy przegrywający teraz raz za razem przeciwnik wahał się z wyciągnięciem z kieszeni kolejnych banknotów...

Nigdy już więcej Steda takiego nie widziałem.

Około trzeciej nad ranem było po wszystkim. Sted, chowając do kieszeni jeansowej bluzy spory zwitek banknotów, odłączył z niego czerwoną stówę i honorowo wręczył ją studentowi, żeby chłopak miał przynajmniej za co wrócić pierwszym „pekaesem” do domu. Potem wstał, zbiegł szybko po schodach na dół, i wyszedł przed budynek, a ja z nim.

Była głęboka, czarna noc, blado świeciły we mgle uliczne latarnie. Z restauracji „Europa” wyrzucano ostatnich pijaków. Na rogu, naprzeciw „Europy”, wsiedliśmy do taksówki i pojechaliśmy na dworzec kolejowy. Tam, w jasno oświetlonej restauracji, zjedliśmy po kotlecie schabowym z ziemniakami i kapustą, oraz wypiliśmy po gorącej herbacie z cytryną. Sted płacił za wszystko z wygranej. Potem znowu wsiedliśmy do taksówki, pojechaliśmy z powrotem do „Peteteku” i pościliśmy spać.

Minęło kilka tygodni

i z pozoru wszystko wyglądało „po staremu”: Sted ponownie rozpoczął studia na pierwszym roku romanistyki; mieszkał znowu w przepelnionej „szesnastce” w domu akademickim przy ulicy Sławińskiego, wydrukował w „Kamienie” te dwa wiersze, o których wspomniałem poprzednio, a później: „Błogosławiona bądź łaźnio!”. Ale jeszcze nawet wówczas nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, jaka ogromna zmiana zaszła w ciągu ostatnich miesięcy w twórczości Stachury, jakiego on nabrał - jako poeta - „przyspieszenia”, ile wierszy napisał, i w jakim natchnieniu, w jakim zapamiętaniu się pracował... W 1959 roku i na

początku 1960 powstał przecież poza innymi utworami prawie cały poemat „Dużo ognia”. Powstała, wśród innych wierszy Steda, „Róża”:

*W ogrodzie nocą chochoł to król
a narzeczona jego magiczna
o łaskę króla ją pielęgnować
a mnie to już nikt tak dawno bardzo
dawno tak bardzo już nikt
nie pielęgnował
czy ja jestem blacha albo tygrys
że mnie to już nikt dawno tak bardzo
nie pielęgnował*

*albo to ja mam sklep korzenny sklepik
żebym się sam niedziela po niedzieli
pod ladą pielęgnował*

*w ogrodzie nocą chochoł to król
a narzeczona jego magiczna
to może tak jutro magicznie*

o łaskę króla mnie pielęgnować

Podaję ten utwór w takim brzmieniu, w jakim został wydrukowany w zbiorze „Dużo ognia”, wydanym przez „Iskry” w 1963 r., po - jak się należy domyślać - korekcie naniesionej przez Stachurę. Bo „Róża”, którą zamieścił w nrze 1 „Kameny”, z 15 stycznia 1960 r., miała troszkę inaczej brzmiące ostatnie dwa wersy.

W tymże numerze „Kameny” ukazała się duża proza poetycka Stachury: „Która jest jak oliwa na wodę”. Proza -wyznanie poety...

[...] Najgorzej było z pierwszym zdaniem, z pierwszym obrazem. Ale kiedy znalazłem słowo, kiedy co mi wyszło, to niepomiarowa była moja radość. A kiedy już napisałem wiersz, kiedy go ukończyłem, co to było! Jeśli nie było nikogo w pokoju i jeśli w pokoju było lustro, podchodziłem do niego i powtarzałem wiersz głośno, kilkakrotnie i radowałem się, choć niewyraźnie mówię i zatrzymuje się w środku zdania, jak gdybym cieszył się ostatnim słowem, które przed chwilą wymówiłem niewyraźnie. Skakałem, śpiewałem, przewracałem krzesła,

kopałem je, cieszyłem się. Jeśli w pokoju nie byłem sam i ktoś inny spał, kładłem się cicho i gryzłem poduszkę. Cieszyłem się. Zapalałem papierosa i powtarzałem cicho:

Jak to jest że tak mało pokory ta chwila łania

Kiedy ręce na nią odpuszczam a więcej obdarzam

Bo oto prawie trzymam swoją nieobecność

Że omdlewają mi kwiaty w ogrodzie i łaźni

Więc pozdrowiona bądź ostatnia poro imienia

Twój popiół biały w dzbany skrzętnie już po was

I wdowy swój obiad w gitarach zawodzić zawodzić

A na szybach już świt czynił przezroczystość i widoczność gałęzi za oknem, i kamienic między gałęziami i nieba między kamienicami. A tu najbliższej czyniła się agonia żarówki, która żyła ze mną przez całą noc, była moim nocnym słońcem, a teraz ustępowała miejsca świtowi, umierała, więc gasilem ją, gdyż szlachetnie jest przerywać agonie dobrej rzeczy lub pięknego i wiernego zwierzęcia, i ja też umierałem nad ranem i prosiłem sen, by przerwał moja agonię, ale sen nie był szlachetny i długo jeszcze umierałem z wierszem na wargach, jak z ostatnią relikwią, opatrzony najświętszym sakramentem własnej miłości. [...]

Połowa stycznia, pierwszy numer „Kamień” z 1960 r., Lublin skuty mrozem, w „akademiku” na Stawińskiego stężała duchota, na ulicy - para bucha z ust, grabieżą dłonie; za dwa tygodnie - w klubie „Nora” pierwszy „wielki” wieczór autorski Edwarda Stachury i -

pierwszy wielki sukces.

W ostatnim tygodniu stycznia 1960 r. Sted zwrócił się do mnie z prośbą, abym czytał jego wiersze na wieczorze autorskim, który ma się odbyć już wkrótce, 2 lutego. Sam nie chce ich czytać. „Wiesz, jak jest z moją wymową - powiedział - A ty jesteś obyty ze sceną”.

Istotnie, od lat siedziałem w teatralnym ruchu studenckim, patem - półzawodowym; grywałem epizodyczne role na scenie Teatru im. Osterwy, wreszcie - pracowałem jakiś czas jako pełnoprawny aktor w lubelskim Teatrze Lalki i Aktora. I teraz jeszcze, mimo współpracy z „Kamienią”, żyłem dorywczo ze scenicznej chałtury... Ale żeby wybór Steda padł akurat na mnie? Do dzisiaj nie wiem czy Sted wyczuł we mnie najwłaściwszego lektora – odtwórcę jego poezji, czy też poza mną nie miał się do kogo zwrócić? Tak czy inaczej, poczułem się w pełni – jak by się dzisiaj powiedziało – „dowartościowany”. No i wyraziłem zgodę.

Wieczór szykował się jako bardzo prestiżowy. Miał się odbyć w klubie stowarzyszeń twórczych przy Krakowskim Przedmieściu 32, noszącym władnie od niedawna nową nazwę - „Nora” Organizowany był w ramach zainicjowanych ostatnio przez kierownictwo klubu do spółki z Lubelskim Oddziałem ZLP - „wtorków literackich”. I właściwie także przez redakcję

„Kameny”, jako, że pismo było wówczas organem tutejszego oddziału Związków Literatów Polskich. Takiego wyróżnienia nie dostąpił jeszcze dotąd żaden z młodych lubelskich poetów.

Wieczór autorski Edwarda Stachury miał być trzecim dopiero z kolei „wtorkiem literackim”. Dwa pierwsze odbyły się w styczniu, wzbudzając duże zestresowanie w środowisku kulturalnym. Podczas inauguracyjnego wieczoru Ireneusz Opacki mówił o poezji Juliusza Słowackiego. Następny „wtorek” poświęcony był pamięci zmarłego niedawno tragicznie Alberta Camusa; słowo wstępne wygłosiła Anna Jakubiszyn-Tatarkiewicz, fragmenty utworów pisarza czytał Adam Tomanek. A teraz - wieczór autorski Stachury!

Myślę, że swój wieczór autorski zawdzięczał Sted przede wszystkim Annie Tatarkiewiczowej, związanej wówczas silnie z „Komaną” (była jakby zastępcą redaktora naczelnego Marii Bechczyc-Rudnickiej). Pani Anna nie tylko znała się na literaturze, ale również potrafiła poznać się na ludziach, którzy literaturę szturmowali. A także chyba - Stefanowi Zarębskiemu, poecie, tłumaczowi Goethego i Schillera, przedstawicielowi „średniego pokolenia” lubelskich pisarzy, który w „Kamenie” pracował, jako tzw. sekretarz techniczny. Pewnie właśnie ostatnie utwory przynieszone przez Steda do redakcji - te, które wydrukowano w 1 n-rze „Kameny” ze stycznia 1960 r. – „Róża” i „Która jest jak oliwa na wodę” (przedtem: „Błogosławiona bądź łaźnio!”) i jeszcze inne, spoczywające na razie w teczkach redakcyjnych, zadecydowały o zaprezentowaniu jego twórczości na pierwszym lutowym „wtorku literackim”.

Sted wręczył mi spory plik kartek; wiersze były przepisane na maszynie, czysto, wyraźnie, z ogromną dbałością o przejrzystość i układ graficzny tekstu. Umówiliśmy się na poniedziałek rano, za kilka dni, w kawiarni „Lublinianka” na „roboczą” próbę. Do tej pory miałem sobie wiersze „poczytać” w domu.

Kiedy pojawiłem się

w poniedziałek 1 lutego, w pustej jeszcze zupełnie „Lubliniance”, Sted już czekał. Siedział na samym końcu dolnej sali, przy okrągłym stoliku, w rogu po lewej stronie, przy oknie. Był zziębnięty, zmęczony, jakby - niewyspany. Okazało się, że ostatnią noc spędził „na Cichej”, w areszcie pobliskiego komisariatu milicji, gdzie trafił po wdaniu się w jakąś awanturę. Ale kiedy wypił - od razu jedna za drugą: dwie herbaty (mógł ciągle pić herbatę), szybko zaczął stawać na nogi.

Pamiętam dobrze, że z miejsca, w sposób bezlitosny, skrytykował moją interpretację i sposób czytania. Wszystko miało być nie tak. Zupełnie, albo prawie zupełnie, inaczej. Miał drobiazgowo przemyślaną każdą intonację, każdą pauzę, każde zawieszenie głosu, natężenie jego brzmienia w poszczególnych wierszach. Żądał, aby zwracać przede wszystkim uwagę na wewnętrzny rytm utworu, na jego „falowanie”, na melodię w nim zawartą. To miało być

raczej coś w rodzaju - „wyśpiewania”, a nie „wyrecytowania” tej poezji... Może nie tak akurat się wyraził: „wyśpiewanie”. Ale o to chyba właśnie szło. Zresztą tylko częściowo mi wyjaśniał i tłumaczył, o co mu chodzi. Przede wszystkim sam mówił każdy swój wiersz, chcąc, abym go, po prostu, naśladował... Oczywiście, gdybym się w te wiersze nie „wczuł” tak jak on chciał, nie przeżył ich wspólnie ze Stedem, nie „dostroił” się do jego wrażliwości, rezultat byłby żaden.

Był nieprzejednany i niestrudzony w czytelowaniu najdrobniejszego, najmniej, zdawałoby się znaczącego szczegółu. „Katował” mnie przez długi czas, wiersz za wierszem. Najpierw, w dolnej Sali „Lublinianki”, a potem - na dancingowym „pięterku”, gdzie przenieśliśmy się, gdy parter kawiarni zaczął zapełniać się gośćmi.

Na „górcie” panował spokój; o tej porze nie bywał tam jeszcze nikt. Czytałem strofą za strofą, a Stachura w skupieniu, przymknąwszy oczy, towarzyszył, szeptem, prawie bezgłośnie - jakby się modlił... W pewnym momencie posłyszałem, że coś głośnie mówi.

„Co takiego?” - Podniosłem głowę znad kartki.

„To - godne Homera! To – Homer, to – Homer...!” – powtarzał Sted z upojeniem.

Zatkało mnie. Nie wiedziałem, jak się zachować co powiedzieć. Był śmieszny; ale i jakoś... wzniosły zarazem, w tej swojej egzaltacji, w tym bezgranicznym zachwyceniu...

Pierwodruk: „Kamena”, 1986, nr 24, s. 3.